

Dr hab. Jacek Breczko
Zakład Psychologii i Filozofii
UMB

Recenzja doktoratu Adama Woźniaka „Wspólnota i odporność. Idea zbiorowej odporności w publikacjach polskich higienistów oraz w międzywojennych utworach literackich poświęconych wojnie polsko-bolszewickiej”.

Zacznę od uwagi ogólnej i zarazem osobistej: praca Adama Woźniaka to jedna z najbardziej oryginalnych, ambitnych, zróżnicowanych pod względem tematyki oraz bogatych w treść rozpraw doktorskich, z jakimi się zetknąłem. Stąd też trudność w scaleniu i „objęciu” tej różnorodności, a przeto również w ocenie całości. Ta rozprawa to „trudny orzech do zgryzienia”.

Przejdźmy jednak od konkretów. Praca jest dosyć obszerna, liczy blisko 220 stron standardowego wydruku A4. Składa się ze wstępu, trzech części podzielonych na rozdziały, z zakończenia oraz obszernej bibliografii. Jest to więc układ – rzecz można – klasyczny. Oryginalność i różnorodność zawarta jest jednak w tematyce poszczególnych części, które stanowią – w znacznej mierze – odrębne całości. Można by więc rzec, że mamy do czynienia z trzema monografiami połączonymi w subtelny i zarazem dosyć złożony sposób (autor posługuje się metaforą „pomostów”). Dodać należy, że każda z części należy do innej dyscypliny, mamy więc do czynienia z pracą interdyscyplinarną, a każda z tych dyscyplin zakłada nieco inny język i narzędzia badawcze. W intencji autora wszakże część pierwsza (najbardziej ogólna) miała być nie tylko rodzajem filozoficznego wstępu, ale również (między innymi) „pomostem” i spoiwem między pozostałymi częściami. Czy ten zamiar udało się w pełni zrealizować, to inna sprawa, do której jeszcze wrócę.

Co jednak łączy owe różne wątki? O czym jest właściwie ta rozprawa? Jaka jest jej tematyka? Oryginalność pracy wiąże się z trudnością odpowiedzi na to pytanie. Niemniej jednak ująłbym to tak: tematem pracy jest zagadnienie zdrowia publicznego, a dokładniej zdrowia i siły społeczności, a jeszcze dokładniej zdrowia i siły narodu polskiego, szczególnie w ich aspekcie obronnym (odporności, dawania oporu), zarówno na płaszczyźnie somatycznej, jak i duchowej. Ów akcent na obronności (odporności) wiąże się być może z polską tradycją polityczną, nastawioną raczej na obronność, a nie agresję i podboje (wystarczy wspomnieć o *antemurale*), a być może również z modnym obecnie – w kontekście epidemiologicznym – pojęciem „zbiorowej odporności”, które znajdujemy w tytule pracy. Co jednak ważne, owo zdrowie publiczne, zdrowie narodu w aspekcie obronnym, nie jest badane „wprost”, ale przez dwa pryzmaty. Pierwszy pryzmat to poglądy na ten temat polskich eugeników, zwanych również higienistami (co może być mylące, bo nie chodzi o zwykłych higienistów, ale o „higienistów rasy”). Drugi pryzmat to poglądy na ten temat wyrażone w wybranych dziełach literackich poświęconych wojnie polsko-bolszewickiej z lat 1919-1920.

Praca ta zatem nie należy do zakresu badań socjologicznych dotyczących przeszłości, nie chodzi w niej bowiem o odpowiedź na pytanie, jakie było zdrowie publiczne polskiego społeczeństwa na przełomie XIX i XX wieku, ale o rekonstrukcję poglądów na ten

temat wybranych eugeników i pisarzy. Pracę zaliczyć należy do szeroko rozumianej „historii idei” (będącej częścią filozofii) na styku z historią medycyny, historią doktryn politycznych i prawnych oraz badaniami literaturoznawczymi.

A żeby sprawę jeszcze bardziej skomplikować (choć w intencji autora raczej uporządkować), patrzmy na te pryzmaty przez kolejny pryzmat, mianowicie autor próbuje zastosować do owej rekonstrukcji filozofię oraz aparat pojęciowy Michela Foucaulta i pewne koncepcje jego kontynuatora, Roberto Esposito. Innymi słowy – ujmując rzecz w sposób ogólny i filozoficzny – głównym zamiarem autora było (jeśli dobrze zrozumiałem) zastosowanie perspektywy postmodernistycznej do badania fenomenu polskich eugeników i dzieł polskich pisarzy dotyczących wojny roku 1920 ze szczególnym akcentem na kwestie zdrowia, siły i odporności wspólnoty. Szukając zatem łącznika pomiędzy poszczególnymi częściami, można by wskazać na *bios*: część pierwsza – biopolityka w ogóle, część druga – biopolityka eugeniczna w Polsce, część trzecia – bioliteratura związana z wojną polsko-bolszewicką (nie mylić z literackim naturalizmem). Owo *bios* jest spoiwem w jeszcze innym sensie, mianowicie jako nurt „biologizujący” w humanistyce. Tym co łączy większość analizowanych autorów jest pojmowanie społeczeństwa jako organizmu, jako zbiorowego ciała; jednostki są zaś ujmowane jako składowe tego organizmu (komórki, czy mikro-narządy). Jest to podejście zarazem anty-personalistyczne (w sensie chrześcijańskim) oraz antyindywidualistyczne (sensie w liberalnym i oświeceniowym). Ludzkie komórki powinny służyć społecznemu organizmowi; należy też odróżnić komórki zdrowe od komórek chorych, jak również komórki „własne” od patogenów, bezlitośnie likwidując – niczym chirurg skalpelem – komórki chore i patogeny (na przykład atak bolszewików oraz ideologii komunistycznej jest traktowany jako „zaraza”, „epidemia”, niejako wschodnia dżuma atakująca Polskę i Europę).

Tyle tytułem wstępu. Próbując rzecz ocenić, czyli rozgryźć ten „twardy orzech”, zacznę od zalet pracy, następnie przejdę do jej słabszych stron, aby na końcu wydać werdykt.

*

Zacznijmy przeto od zalet.

Temat pracy jest – mimo jej historycznego charakteru – niezwykle aktualny i ważny. Wystarczy wspomnieć następujące okoliczności. Po pierwsze, „Imperium” wschodnie ponownie kontratakuję (a walki toczą się w pobliżu terenów, na których toczyły się w roku 1919). Po drugie, i chyba ważniejsze, możemy chyba zdiagnozować globalny kryzys liberalnej demokracji, indywidualizmu oraz – powiązanej z nimi – doktryny praw człowieka i jego godności. Wracają doktryny oraz polityczne tendencje autorytarne, centralistyczne, a nawet totalistyczne, powiązane ze wspólnotowością, nacjonalizmem i ksenofobią, również o odcieniu rasistowskim, z akcentem na prężność i czystość narodu pojmowanego jako wspólnota krwi, albo wspólnota mistyczna (różne „Fronty Oczyszczenia Narodowego”). Po trzecie, gwałtowny rozwój inżynierii genetycznej – umożliwiający być może w niedalekiej przyszłości głębokie ingerencje w genotyp zarodka i jego modelowanie pod dowolnym kątem – rozbudzają stare marzenia eugeniczne, wprowadzając je niejako na wyższy i bardziej subtelny (bez sterylizacji i rozlewu krwi) poziom. Jeśli jednak dodamy punkt drugi do punktu trzeciego, to na horyzoncie jawi się punkt czwarty, czyli nowa eugenika, posługująca się inżynierią genetyczną, w rękach nie tylko rodziców, czy towarzystw ubezpieczeniowych, ale nowych reżymów autorytarnych, totalistycznych i

nacjonalistycznych, co mogłoby doprowadzić, do realizacji najbardziej ponurych scenariuszy utopijnych.

Historia eugeniki w Polsce doczekała się już pewnej liczby opracowań (podkreślić należy prace – cytowanej przez autora – Magdaleny Gawin¹). Jest to jednak „teren” – z różnych względów – nadal słabo zbadany; w szczególności otwarte pozostaje pytanie, dlaczego w Polsce, w okresie międzywojennym, do planowanych ustaw na rzecz „poprawy rasy” nie doszło. Niniejsza rozprawa z tym pytaniem, co prawda, nie próbuje się zmierzyć, ale poszerza naszą wiedzę o tym słabo rozpoznanym „terenie”.

Język pracy jest wyśmienity, praktycznie bezbłędny pod względem gramatycznym i stylistycznym (a nawet interpunkcyjnym!). Co więcej, autor dba – z powodzeniem – o jego walory literackie i zarazem naukową precyzję oraz jasność i klarowność (o ile to możliwe w kręgu postmodernizmu): unika zbyt długich zdań i mglistych sformułowań. Jeśli miałbym się do czegoś przyczepić (choć to wiąże się raczej z moim filozoficznym „gustem językowym”), to nadużywanie modnej obecnie terminologii oraz pewnych zwrotów o proveniencji postmodernistycznej. Otóż, na przykład, w tej narracji słowo „dyskurs” pojawia się 103 razy, nie mówiąc już o tym, że w tym dyskursie, słowo „narracja” pojawia się 12 razy. Gdyby autor ograniczył liczbę tych – i tym podobnych – „konstruktów”, wyszłoby to zapewne pracy na dobre. Nawiasem mówiąc, autor zdefiniował pojęcie „dyskurs”, co poniekąd usprawiedliwia jego częste używanie.

Praca oparta jest na bardzo bogatym materiale źródłowym, co ma swoje odbicie w bogatej bibliografii (270 pozycji podzielonych na cztery części tematyczne). Autor prze studiował książki i artykuły 50 eugeników-higienistów oraz powieści i opowiadania ponad 40 pisarzy. Do analizy zaś tego materiału posłużył się nie tylko konstrukcjami myślowymi zaczerpniętymi z prac Foucaulta i Esposito, ale również koncepcjami – między innymi – takich filozofów jak: Platon, Hobbes, Hegel, Nietzsche, Agamben, Carl Schmitt. A jako że wojnę z Rosją w roku 1920 można traktować jako „zderzenie cywilizacji”, w pracy pojawiają się również odwołania do takich filozofów jak Koneczny i Huntington, choć to raczej margines tej rozprawy. *Fin de siècle* oraz okres pierwszej wojny światowej to czas pojawiania się różnych historiozoficznych doktryn pesymistycznych i katastroficznych, co również jest w pracy odnotowane. Autor wspomina o Spenglerze, Znanieckim, a przede wszystkim o Marianie Zdziechowskim.

Autor wykazuje się też dużą samodzielnością badawczą oraz inwencją interpretacyjną. Wprowadza interesujące podziały i próby strukturalizacji. Na przykład podział dotyczący tego, w jaki sposób pisarze postrzegali zło („negatywność”) bolszewizmu: wyróżnia – moim zdaniem trafnie – wariant biologiczny, cywilizacyjny i demoniczno-apokaliptyczny.

Należy też odnotować pewne poszerzenie i pogłębienie „perspektywy poznawczej”; wtedy mianowicie, kiedy autor zastanawia się nad powiązaniem nacjonalizmu z problemem sensu egzystencji, a szczególnie kruchością i śmiertelnością ludzkiego „istnienia poszczególnego”. Idąc tym tropem, nawiązując do spostrzeżeń Jean-Luc Nancy’ego oraz Bartosza Kuźniarza, wykazuje się niemałą – by tak rzecz – „wrażliwością metafizyczną”. Muszę przyznać, że to odejście od Foucaulta, koncentrującego się raczej na poziomie ogólnopolitycznym, wydawało mi się poznawczo „odświeżające” i owocne. Zagadnienie

¹ Por. M. Gawin, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego (1880-1952)*, Warszawa 2003.

nacjonalizmu (zarówno biologizującego, jak i mistycyzującego) zostało w ten sposób pokazywane w innym świetle.

Warto również, w tym kontekście, wspomnieć o twórczym nawiązaniu do Esposito koncepcji wspólnoty (*communitas*) z owym „*munus*” jako daru, który jednostka jest winna wspólnocie; daru, który wynika z pierwotnego długu wobec ojczyzny. Rodząc się bowiem otrzymujemy niejako na kredyt zdobycze poprzednich pokoleń. Można w ten sposób niearbitralnie uzasadnić twierdzenie, że „jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”. Ale – dodajmy – jestem dłużnikiem nie tylko twórców kultury polskiej, ale też cywilizacji zachodniej oraz twórców ludzkiej cywilizacji; mam zatem również obowiązki europejskie i ogólnoludzkie.

Rozprawa ma przeważnie charakter opisowy, autor zachowuje naukowy dystans do badanej problematyki (co w tym przypadku nie jest łatwe) i tylko niekiedy wypowiada sądy wartościujące, nie mieszając wszakże opisu z wartościowaniem. Owe sądy wartościujące – wywarzone, moim zdaniem – pojawiają się zazwyczaj w podsumowaniu poszczególnych części oraz w podsumowaniu całości. Podsumowanie całości, czyli zakończenie, jest wyrafinowane i wskazuje na dużą inwencję i samodzielność autora. Próbuje powiązać na zasadzie podobieństw i różnic różne wątki pracy, co nie jest łatwe.

*

Przejdźmy teraz do słabszych stron rozprawy, z zastrzeżeniem, że nie będzie to krytyka pryncypialna i zdecydowana, ale pewne spostrzeżenia oraz uwagi „do dyskusji”.

Mam wątpliwości, czy główny patron filozoficzny został trafnie dobrany. Czy mianowicie filozofia Foucault jest dobrym wprowadzeniem do badanych zagadnień. Czyli – innymi słowy – czy francuski filozof jest dobrym przewodnikiem po ideologiach i praktykach politycznych zawierających w sobie – w różnych dawkach i konfiguracjach – eugenikę, rasizm, pozytywistyczny nacjonalizm związany z darwinizmem oraz – mający korzenie w romantyzmie – nacjonalizm „mistycyzujący” w typie *Blut und Boden*. Na pozór tak, albowiem złowrogo brzmiące pojęcia „biowładzy” i „biopolityki” świetnie pasują do eugenicznych działań władzy państwowej. W przypadku Foucaulta nie chodzi wszakże tylko o takie ekstrema, ale o zwyczajną (i zarazem złowrogą) praktykę polityczną w nowoczesności. W ten sposób do jednego worka wrzucone są różne odmiany relacji władzy i – w skrócie – sfery biomedycznej. W ten też sposób dosyć banalny proces, który historycy i socjologowie określają jako zmianę sposobu uprawiania medycyny z paradygmatu indywidualistycznego na społeczny (już nie gra indywidualna, ale zespołowa), jaki dokonał się w ostatnich dwóch stuleciach, zostaje przedstawiony – w duchu „filozofii podejrzeń” oraz demaskowania ukrytych mechanizmów władzy oraz ukrytej „woli mocy” – w sposób demonizowany i złowrogi. Krótko mówiąc – nie jest to bowiem miejsce na gruntowną polemikę z Foucaultem – demonizowanie biowładzy w ogóle oddemonizowuje prawdziwie demoniczną biowładzę praktykującą eugenikę, szczególnie w jej mocnych (negatywnych) odmianach. Proporcje zostają zakłócone. Można odnieść wrażenie, że oni wszyscy (władcy, władza) są tyle samo wari. Otóż nie. Na pewno należy bronić społeczeństwa przed eugeniczno-higienicznymi – w imię czystości ludzkości, rasy czy narodu – działaniami władzy. Być może trzeba bronić społeczeństwa przed władzą, która w ramach liberalnej ideologii państwa-minimum, sferę zdrowia publicznego pozostawia inicjatywie prywatnej. Ale czy na pewno trzeba bronić społeczeństwa przed państwem opiekuńczym i społeczną służbą zdrowia, jeśli są dobrze zorganizowane oraz szanują autonomię, godność i równość obywateli (czyli – siłą rzeczy – są wolne od jakichkolwiek praktyk eugenicznych, choć dbają o poziom higieny normalnie pojętej)?

Inne pojęcia Foucaulta (a nie był on jak wiadomo mistrzem w precyzyjnym definiowaniu pojęć, którymi się posługiwał), które autor traktuje jako cenne „narzędzia badawcze”, również – mam wrażenie – wprowadzają więcej zamieszania niż porządku.

Weźmy pojęcie „rasy” („rasizmu”). Jest ono na tyle szerokie, że – o ile dobrze rozumiem – obejmuje wszelkie możliwe podziały w społeczeństwie, niejako rysy na społecznym monolicie (powierzchnia społeczna może być spokojna, ale w głębinach wre niestanny konflikt „rasowy”). Społeczeństwo dzieli się przeto – albo jest instrumentalnie dzielone przez władzę – na różne rasy. Odrębnymi rasami są więc również – jeśli dobrze rozumiem – kibice różnych drużyn piłkarskich, fani różnych pop-piosenkarzy, nie mówiąc już o zwolennikach różnych partii politycznych, wyznawcach różnych religii lub przedstawicielach różnych warstw i klas społecznych. Autor próbuje owo rozległe pojęcie „rasy” Foucaulta uwzględnić, proponując odmienny zapis słowa „rasa” („rasizm”, „rasistowski”). W przypadku szerokiego rozumienia Foucaulta używa kursywy, w przypadku innych „użyć” cudzysłów. To jednak nie załatwia sprawy. W istocie – w związku z posługiwaniem się terminem Foucaulta – należałoby wprowadzić trzy znaczenia (rozumienia) i zapisy, co jeszcze bardziej komplikowałoby i tak już w tej kwestii skomplikowany wywód: a) rasa w sensie Foucaulta; b) rasa w rozumieniu wielu eugeników, utożsamiana z jakością odmiennością biologicznie pojmowanego narodu, c) rasa w sensie potocznym oraz używanym współcześnie w nauce (biała, czarna, żółta i ich mieszanki). Czyż nie wygodniej byłoby zrezygnować z mylącego – nadmiernie ogólnego – pojęcia Foucaulta i ograniczyć się do dwu pozostałych, w cudzysłów biorąc, po prostu, owo ujęcie narodu-rasy eugeników?

Inne ważne pojęcie to pojęcie „populacji” – „*populacja*, czyli ujęta statystycznie masa rozmnażających się ludzi, których traktowano jako żywe zasoby”, Zasoby, które miały być użyte w celach produkcyjnych lub militarnych. Jeśli dobrze rozumiem, chodzi o pojmowanie i traktowanie społeczeństwa w sposób czysto użytkowy (jako środek) w sposób maksymalnie „odczłowieczony”; jako biomasę, albo – proszę wybaczyć – sumę gadającego mięsa. Czyli trochę tak, jak hodowca traktuje swoją trzodę, dbając o zdrowie i higienę stada w celu maksymalizacji efektów hodowlanych. Zaiste, niektóre wyrwane z kontekstu cytaty z artykułów Tomasza Janiszewskiego mogłyby na to wskazywać². Jednak ogólnie rzecz biorąc, takie pojmowanie społeczeństwa było polskim eugenikom obce. Zgodnie uważali, że jednostka powinna poświęcić się dla ogółu (obcy był im również indywidualizm i nominalizm), ale ten ogół to żadna „biomasa”, ale naród polski (najczęściej) lub ludzkość, a to byty – w ich rozumieniu – znajdujące się na szczycie hierarchii wartości. Myślę przeto, że aby lepiej zrozumieć polskich eugeników, należałoby – zamiast posługiwać się foucaultowskim terminem „populacja” – nakreślić różne sposoby pojmowania narodu. Na przykład, jako wspólnoty kulturowej u lewicowych eugeników, jako wspólnoty krwi, a nawet odrębnej rasy, u eugeników prawicowych, aż do wizji jakiejś wspólnoty reinkarnujących duchów (jak u Słowackiego), co mogłoby z kolei przydać się do wyjaśnienia poglądów niektórych pisarzy wywodzących się z „paradygmatu romantycznego”. Zważmy również, że termin „populacja” ma ściśle (pozbawione aspektu wartościującego) znaczenie we współczesnej medycynie i socjologii. Foucault z kolei powiedziałby, że nie jest on neutralny, bo to wiedza-władza. I tak w kółko. Czy jednak rocznik statystyczny jest ukrytym narzędziem władzy traktującej społeczeństwo jak biomasę, ludzkie bydło i gadające mięso? Czy zatem należałoby – w imię

² „Administracja musi być przejęta duchem ekonomii ludowej, tą zaś jest ekonomia materiału ludzkiego. [...]. Najważniejszym zadaniem administracji jest ochrona tego kapitału, utrzymanie go i zapewnienie dobrego oprocentowania. Osiągnąć to można tylko wtedy, gdy każdy osobnik tworzy więcej, niż kosztowało jego wychowanie, gdy siła życiowa ludzka będzie odpowiednio wyzyskana, należycie chroniona i pielęgnowana, a zużycie jej należycie amortyzowane”. Cyt. za M. Gawin, *Rasa i nowoczesność...*, s. 100.

obrony społeczeństwa – zabronić działania takim instytucjom jak Główny Urząd Statystyczny (dochodzimy chyba w ten sposób do absurdu).

Pojęcie „bezpieczeństwa” i „środowiska” są na tyle mętne i wieloznaczne, że nie podejmuję się ich precyzować, zresztą autor rozprawy (na szczęście) też do nich w pozostałych częściach stosunkowo rzadko nawiązuje. A jeśli już, sprawa budzi pewne wątpliwości. Wspólnota bywa traktowana na przykład jako zbiorowe ciało, a „środowiskiem” okazuje się na przykład gospodarka oraz idee³. A czy gospodarka i idee nie są wnętrzem owego zbiorowego ciała, a środowiskiem – powiedzmy – sfera natury i inne zbiorowe ciała. Innymi słowy, co właściwie jest środowiskiem (otoczeniem), a co wnętrzem?

Terminologia Esposito wydaje się bardziej przydatna i inspirująca (z jednym wyjątkiem, o którym za chwilę). O zaletach „wspólnotowości” jako *communitas* z owym „*minus*” jako darem już wspominałem. Kolejnym cennym pojęciem – niejako słowem kluczem do otwierania różnych zamków – jest „inkorporacja negatywności”. Autor używa go – między innymi – nawiązując do mechanizmu działania szczepionki, przenosząc to na grunt społeczny (ujmowany biologicznie), co jednak budzi pewne wątpliwości. Szczepionka – w tym kontekście – to raczej manewry wojskowe z osłabionym przeciwnikiem, aby uczyć się walczyć w przyszłości z tym samym przeciwnikiem w lepszej formie i większej liczbie. Inkorporacja negatywności nieźle natomiast pasuje do endeckiego programu asymilacji mniejszości (bliskiego prawicowym eugenikom oraz pisarzom), będącego w kontrze do federacyjnego programu Piłsudskiego, który nie zakładał asymilacji, ale silną republikę wielonarodową, traktując państwo, a nie naród, jako wartość nadrzędną.

Owym wyjątkiem jest zaś pojęcie „katechona” i „figura katechona”, którymi posługuje się Esposito. Autor twierdzi, że „dyskurs katechontyczny” jest „ważny dla pracy”, a mi się wydaje, że prowadzi na manowce. O co chodzi? Pojęcie „katechona” pojawia się w jednym miejscu w listach św. Pawła. Oto jest jakaś siła powstrzymująca ostateczny chaos (ów katechon), czyli – wedle popularnej wykładni – nadejście Antychrysta i apokalipsę, a zatem również paruzję, koniec świata i sąd ostateczny. W średniowieczu coś na ten temat pisano, a potem katechon popadł w zapomnienie. Bodaj Carl Schmitt owo pojęcie „odkuruzył” i uznał, że to władza świecka może być owym katechonen (podobnym tropem kroczył Esposito). Pojawiły się w ten sposób – w ramach „figury katechona” – różne jego materializacje; powiedzmy w skrócie, od Piłsudskiego, który powstrzymywał wschodniego Antychrysta i apokalipsę, aż do – wedle Dugina – Putina, który powstrzymuje zachodniego Antychrysta i apokalipsę. Co to ma wspólnego w polskim ruchem eugenicznym i pisarzami zajmującymi się wojną polsko-bolszewicką? Piłsudski jako katechon to pomysł późniejszy, wyrastający bodaj na gruncie teologii politycznej Schmitta, którego analizowani eugenicy i pisarze znać nie mogli.

To nas prowadzi do kolejnego zagadnienia. Czy, i na ile, uprawnione jest posługiwanie się współczesną terminologią naukową, do wyjaśniania poglądów dawnych myślicieli, którzy tych terminów i zawartej w niej wiedzy nie posiadali? „Figura katechona” należy do modnych terminów („narracji”) współczesnej humanistyki, natomiast była właściwie nieobecna w szeroko rozumianym „dyskursie humanistycznym” (czyli również w literaturze) na przełomie XIX i XX wieku. Jestem przekonany, że gdyby wszystkich analizowanych higienistów i pisarzy (z wyłączeniem może Mariana Zdziechowskiego), zapytać, kim jest katechon, to nie potrafiliby odpowiedzieć. Zdziechowski w swoich tekstach – mimo przecucia końca historii i apokalipsy związanej z bolszewizmem – ani razu o katechonie nie wspominał. Problem ten jest jednak poważniejszy, kiedy przejdziemy do terminologii (i zawartej w niej wiedzy) z dziedziny nauk ścisłych. Autor recenzowanej rozprawy posługuje się terminologią współczesnych nauk medycznych, szczególnie z

³ Por. rozdział „Degeneracja”, s. 200.

dziedziny immunologii i epidemiologii i „rzutuje” ją w przeszłość, opisując poglądy eugeników-lekarzy z końcówki XIX wieku i pierwszych dekad XX wieku. Na ile – powtórzmy – jest to uprawnione? Przychodzą mi do głowy przykłady ekstremalne: czy, na przykład, dopuszczalne byłoby stwierdzenie, że Empedokles odkrył istnienie entropii (*neikos*) oraz negentropii (*filia*); albo że średniowieczni „metafizycy światła” uprawiali astrofizykę i głosili teorię „wielkiego wybuchu”?

Zacznijmy od tytułowej „zbiorowej odporności”. Obecnie ten termin ma precyzyjny i mierzalny sens w epidemiologii i stał się szerzej znany w związku z epidemią COVID-u. Chodzi mianowicie o taką sytuację, gdy przeważająca część danej zbiorowości osiągnęła odporność na daną chorobę zakaźną (w wyniku zaszczepienia lub „przechorowania”), co zapewnia ochronę przed zachorowaniem osobom nieuodpornionym (osoba chora nie ma kogo zarazić, bo w jej otoczeniu znajdują się same uodpornione osoby i łańcuch zakażeń zostaje przerwany). Ów próg odporności zbiorowej jest też odmienny dla różnych chorób (dla różyczki wynosi podobno 83-86%, dla polio 80%, a dla odry aż 95%). W tytule tej pracy, jak również w dalszych jej częściach, termin ten używany jest w innym – rzecz można potoczny – sensie, bo też tak był rozumiany przez analizowanych badaczy i pisarzy. Autor rozprawy powinien to wyraźnie na wstępie zaznaczyć. A jaki jest ten sens potoczny, „zdroworozsądkowy”. Wizja „zdrowego”, „krzepkiego”, „zahartowanego” człowieka (bo takie synonimy „odporności” są używane przez analizowanych badaczy) jest przenoszona na społeczność. Chodzi więc, innymi słowy, najpierw o człowieka, który jest odporny na działanie niekorzystnych czynników zewnętrznych (brak wody, pokarmu, chłód, upał, itp.), a nade wszystko rzadko choruje, a jeśli nawet choruje, to szybko chorobę zwalcza. Nie dopuszcza do siebie „zarazków” a jeśli nawet przenikną one do jego wnętrza, to potrafi je szybko i skutecznie pokonać. A następnie o społeczność (naród), pojmowaną na sposób biologiczny, jako organizm (czyli niejako wielki człowiek), która jest odporna na działanie niekorzystnych czynników zewnętrznych (klęski głodu, susze, kryzysy ekonomiczne, agresja militarna), a nade wszystko rzadko choruje, a jeśli nawet choruje, to szybko chorobę zwalcza. W przypadku tej rozprawy nie chodzi jednak tylko o sferę somatyczną, ale i duchową. Taka społeczność (naród) jest odporna nie tylko na „zarazki” zakaźnych chorób somatycznych (jak ospa i dżuma), ale i na „zarazki” zakaźnych chorób duchowych i ideologicznych („dżuma bolszewizmu”, „zaraza bolszewizmu”). Eugenicy i pisarze nie mówią zatem – podkreślmy raz jeszcze – o zbiorowej odporności we współczesnym medycznym sensie, ale o owej zdroworozsądkowo pojmowanej odporności, chociaż – dodajmy – wiedzą już o istnieniu zarażających mikroorganizmów. Autor daje tu zresztą świetny cytat z książki Stanisława Grabskiego, wydanej w roku 1921: „Póki też nie znaliśmy chorobotwórczych bakterij gruźlicę płuc, czyli tzw. suchoty, uważano za bezpośredni skutek wycieńczenia organizmu. Dopiero bliższe badania mikroskopowe odkryły lasecznika gruźlicy, i od tej chwili wiemy, że on to jest istotną przyczyną odnośnej choroby”. Nawiasem mówiąc, odróżnienie bakterii od wirusów to również długi proces, trwający od pierwszej dekady XX wieku do późnych lat pięćdziesiątych.

Autor posługuje się – opisując poglądy analizowanych badaczy i pisarzy – również innymi współczesnymi terminami medycznymi, sugerując niejako, że były już wtedy znane, a nie były. Mam na myśli – kilkanaście razy użyty przez autora termin – „system immunologiczny”. O immunologii pisano już w latach dwudziestych, ale pojęcie „systemu immunologicznego” pojawia się w literaturze naukowej w końcówce lat sześćdziesiątych. Podobnie rzecz ma się z takimi terminami – używanymi przez autora – jak „bariera immunologiczna” czy „choroby autoimmunologiczne”. Krótko mówiąc, analizowani badacze i pisarze nie mogli znać osiągnięć współczesnej immunologii oraz jej terminologii i

stosować tego do analizy „krzepy” lub słabości narodu polskiego na przełomie XIX i XX wieku.

Autor pominał właściwie tło historyczne i ideowe, które doprowadziło do pojawienia się ruchu eugenicznego w skali globalnej oraz na terenach polski na przełomie XIX i XX wieku. A przeto brakuje w pracy kontekstu historycznego, który ułatwiłby zrozumienie zagadnień bardziej szczegółowych. Nie jest to konieczne, albowiem rozprawa koncentruje się przede wszystkim na jednym aspekcie poglądów eugeników, mianowicie ich stosunku do odporności wspólnoty; niemniej jednak taki rys historyczny wzbogaciłby pracę i pozwolił czytelnikom lepiej uchwycić, o co „w ogóle” tym eugenikom chodziło. Darwin i jego teoria ewolucji są wspomniani bodaj tylko bodaj trzy razy i to na zasadzie dygresji, a to – moim zdaniem – mógłby być kluczowy wątek, jeśli idzie o zrozumienie genezy ruchu eugenicznego, czyli pojawienie się darwinizmu społecznego jako ważnego wątku w pozytywizmie. Do Polski przeniknęło to między innymi za pośrednictwem filozofii Spencera, który był wtedy bardzo ceniony. Otóż skoro w przyrodzie ma miejsce „walka o byt”, która niejako dba o dobrą kondycję i „higienę” gatunków (bo słabsze osobniki przegrywają w tej walce i nie mają potomstwa), natomiast w świecie ludzkim „walka o byt” jest łagodzona miłosierdziem i opieką nad słabszymi, to może to doprowadzić – jak się obawiali społeczni darwiniści – do degeneracji gatunku, a zatem uznawano, że trzeba podjąć odpowiednie kroki, aby owe słabsze i „zdegenerowane” osobniki odsunąć od prokreacji, natomiast osobniki najzdrowsze do niej zachęcać, a nawet przymuszać. Co więcej, darwinizm społeczny przyczynił się do przekształcenia „uduchowionych” romantycznych nacjonalizmów w nacjonalizmy o zabarwieniu biologicznym. Ów nowy nacjonalizm pojmował narody jako odrębne gatunki, rasy, biorące udział w „walce o byt”. Znaczna liczba, jeśli nie większość, analizowanych eugeników, to byli tacy właśnie nacjonaści i tak właśnie postrzegali swoją misję, aby przez eugenikę wzmocnić siłę, krzepę i odporność polskiej rasy w walce o byt. Rozprawa niewątpliwie zyskałaby, gdyby ten wątek został poruszony i naświetlony. Ułatwiałoby to również czytelnikom poruszanie się w ogromie zagadnień szczegółowych.

Wiąże się z tym kolejna sprawa, mianowicie pominięcie zróżnicowania polskiego ruchu eugenicznego. Autor odwołuje się, co prawda, do wspomnianego już opracowania Magdaleny Gawin, gdzie sprawy te są omówione, ale – moim zdaniem – warto byłoby coś więcej o tym napisać, rozwinąć ten wątek, scharakteryzować (choćby na początku części drugiej) główne odłamy tego ruchu, naszkicować niejako mapę „polskiej eugeniki”, aby następnie streszczać i analizować poglądy poszczególnych eugeników, uwzględniając ów szerszy kontekst. Polska eugenika była bowiem bardzo zróżnicowana, co wnikliwie opisuje – pominięty w tej pracy (a szkoda) – Maciej Zaremba Białawski⁴. Wszak eugenikę popierali, odmiennie ją pojmując, autorzy prawicowi i lewicowi, zwolennicy i przeciwnicy sanacji, ludzie pobożni i wolnomyśliciele, Polacy i Żydzi.

⁴ Por. M. Zaremba Białawski, *Higieniści. Z dziejów eugeniki*, Wołowiec 2014, s. 332-356. Stąd podział („roboczy”), na eugenikę prawicową oraz lewicową. W przypadku lewicowej istotne byłyby nie tyle typowe postulaty eugeniczne, ale takie kwestie jak regulacja urodzin, świadome macierzyństwo, odpowiednia opieka nad dziećmi, powiązana z walką z ubóstwem, brudem, alkoholizmem. Prawicową z kolei, można by podzielić na „mocarstwową” oraz nacjonalistyczną, rasową. W przypadku „mocarstwowej”, chodziłoby przede wszystkim – wedle dowcipnego określenia Boya Żeleńskiego – o „mobilizację macic”, czyli o jak największy przyrost demograficzny. W przypadku nacjonalistyczno-rasowej chodziłoby raczej o jakość, a nie ilość. W tym przypadku też jednak nie było zgody, starzy endecy z niechęcią odnosili się do propozycji prawodawstwa eugenicznego (autorstwa Leona Wernica), a tak zwana młoda endecja – totalistyczna i radykalnie antysemicka – podchodziła do tego z entuzjazmem, podobnie zresztą traktując nazistowskie ustawodawstwo eugeniczne.

A teraz kilka uwag do drugiej części pracy, czyli analizy poglądów pisarzy. Jest to część najbardziej obszerna i – moim zdaniem – najciekawsza.

Badanie filozoficznych treści zawartych w dziełach literackich obarczone jest dużą dozą dowolności. Można więc autorowi zostawić – w znacznej mierze – wolną rękę, albowiem różne interpretacje są dopuszczalne. Tym bardziej, że autor dobrze sobie radzi, wprowadzając liczne trafne rozróżnienia. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na trzy sprawy. Rozprawa zyskałaby, gdyby autor wskazał kryteria doboru tych, a nie innych pisarzy (skoro w rozprawie pojawia się Barszczewski, to dlaczego nie pojawia się Witkacy?). Po drugie, pisarze pojawiają się w tekście – podobnie jak eugenicy – wyrwani w kontekstu: światopoglądowego, ideowego i politycznego. Może jednak warto byłoby, choćby w przypisach, przybliżyć owych autorów, wskazując na ich poglądy filozoficzne oraz sympatie polityczne: no bo jednak Rembek, Strug i Broniewski trochę różnią się – pod tym względem - od Kossak Szczuckiej i Lutosławskiej i warto wziąć to pod uwagę nawet w kwestii bardziej szczegółowej, jak stosunek do „odporności zbiorowej”. Po trzecie, należy odróżnić poglądy pisarzy od poglądów bohaterów ich utworów. Nie każdy bohater jest alter-ego autora i wygłasza jego poglądy (niekiedy żadna z postaci nie jest alter-ego autora, niekiedy autor wygłasza swoje poglądy jako „narrator”, a niekiedy „wprost” w ogóle ich nie wygłasza). Adam Woźniak podchodzi do tego w sposób dość swobodny, posługując się sformulowaniem „autor/bohater”.

Pomijam – aby nadmiernie nie komplikować sprawy – radykalnie różny poziom literacki analizowanych utworów oraz odmienne cele, jakie przyświecały twórcom; otóż niektórzy pisarze tworzyli po prostu literaturę propagandową, zachęcając do składania ofiary z życia na ołtarzu ojczyzny, bo taki był „duch czasów” i „zamówienie polityczne”, a nie jakieś fundamentalne przemyślenia filozoficzne (od których propagandyści zazwyczaj stronią).

I jeszcze drobiazg. Autor – nawiązując do opinii Lutosławskiej – pisze, że Aleksander Lednicki był socjalistą i kolaborantem. Nie wiem, czy był socjalistą (był zaś liberałem, bodaj masonem oraz – rzecz jasna – cyklistą), na pewno nie był kolaborantem. Był natomiast skonfliktowany z Dmowskim, którego Lutosławska wielbiła. Warto może do tego podejść w sposób bardziej obiektywny, albowiem Aleksander Lednicki na to zasługuje.

*

Przejdźmy do podsumowania.

Zważywszy, że zalety rozprawy są bezdyskusyjne, zaś jej słabsze strony, niedociągnięcia i braki, w większości przypadków są „dyskusyjne” oraz że tych pierwszych jest zdecydowanie więcej niż tych drugich, oceniam pracę pozytywnie. Tym bardziej, że owe usterki i pewne luki mogą być w przypadku publikacji książkowej (do której autora gorąco zachęcam) stosunkowo łatwo poprawione.

Reasumując. Przedstawiona mi do recenzji rozprawa „Wspólnota i odporność. Idea zbiorowej odporności w publikacjach polskich higienistów oraz w międzywojennych utworach literackich poświęconych wojnie polsko-bolszewickiej” spełnia kryteria rozprawy doktorskiej, wnoszę przeto do Wysokiej Rady o dopuszczenie mgr Adama Woźniaka do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Jacek Breczko